

# Klimczoka

## Krzyk



Paweł Sylwester Więżik

# Klimczoka Krzyk

Tytuł oryginalny: *Klimczoka Krzyk*

Autor: Paweł Sylwester Więzik

Miejsce i rok wydania: Szczyrk, 2023



Wydanie pierwsze

Wydawnictwo KPB

ISBN: 978-83-960241-3-8

Projekt okładki: Łukasz Ozon

Korekta i redakcja tekstu: Danuta Pustówka

Druk: Wydawnictwo ARKA, [www.arkadruk.pl](http://www.arkadruk.pl)



Zamówienia i organizacja spotkań autorskich:

[wiezik.art@gmail.com](mailto:wiezik.art@gmail.com), tel. 782860214

W książce wykorzystano fragmenty tekstów piosenek Czesława Niemena.

Chodzi o utwory „Chciałbym cofnąć czas”, „Dziwny jest ten świat” oraz „Płonąca stodoła”.

Wszelkie podobieństwa postaci do osób żyjących są niezamierzone.

*Powieść dedykuję mojej żonie Magdalenie.*

*Dzięki Tobie demony trzymają się z dala.*



# Spis treści

AKT I	.....	9
ROZDZIAŁ 1	Taniec grzeszników.....	11
ROZDZIAŁ 2	Podróże i metamorfozy .....	47
ROZDZIAŁ 3	Życie bywa okrutne.....	91
ROZDZIAŁ 4	Sędziwe wśród dreszczy .....	113
ROZDZIAŁ 5	Przechowalnia dusz.....	131
ROZDZIAŁ 6	Pies na sprężynie.....	153
AKT 2	.....	175
ROZDZIAŁ 7	Chata na groniu .....	177
ROZDZIAŁ 8	Dziwomleko i inne używki.....	209
ROZDZIAŁ 9	Kokon .....	239
ROZDZIAŁ 10	Jaskinia Ali Baby .....	269
EPILOG	.....	287



## ROZDZIAŁ 1

# TANIEC GRZESZNIKÓW

– Wiesz, że w razie wypadku zabijesz siebie i dziecko?

Magdalena Flis opierała stopę na desce rozdzielczej ich srebrnego Peugeota 307 CC i leniwym wzrokiem obserwowała krajobraz.

Mateusz nie znosił, gdy tak robiła, ale było jej na tyle wygodnie, że nie zareagowała.

– Słyszałem o gościu, któremu w wyniku uderzenia kość piszczelowa przebiła płuca. Mówili o tym w jakimś programie porannym, chyba w TVN.

Najwyraźniej nie miał ochoty przestać i usilnie wciągał ją w dyskusję, na którą ani Magdalena, ani jej nadmuchany jak balon, ośmiomiesięczny brzuch nie mieli najmniejszej ochoty. Na potwierdzenie tych przemyśleń Miłosz (jeśli wierzyć w zapewnienia kobiety z USG) kopnął z całej siły w jej prawy bok.

– Podaś mi wodę? Małemu najwyraźniej nie służy otwarty dach – poprosiła go.

– Proszę.

Mąż podał jej plastikową butelkę Ustronianskiej i pociągnęła solidny łyk. Facet na stacji benzynowej miał rację, gdy przekonywał ich do spróbowania tej lokalnej wody mineralnej. Solidnie schłodzona smakowała wręcz idealnie.

– Ściągniesz tę stopę, czy będziemy się o to kłócić? – zapytał bardziej stanowczo.

– Jestem w ciąży. Daj mi spokój.

Była to w ostatnim czasie jedna z jej ulubionych odpowiedzi w sytuacji, gdy nie miała racji. Siła tego argumentu pozostawiała go bezradnym i zamykała furtki do wszelkich sporów, próśb czy narzekań. Oczywiście stosowała ten argument w pełni świadomie i traktowała jako największy obecnie atut. Fortel



działał za każdym razem, choć bywały sytuacje, że dość opornie, ale wówczas wystarczyło dodać płacz, by osiągnąć nic porozumienia. Płacząca żona w ciąży była odpowiedzią na najtrudniejsze męskie rozterki i panaceum na problemy związku. Magdalena zastanawiała się czasem, co będzie, gdy dziecko przyjdzie na świat i kolejna stłuczka samochodem nie będzie mogła być wytłumaczona wyłącznie sprawką hormonów? Póki co udawało jej się go do tego przekonać, ale gdy ośmiomiesięczny brzuch stanie się brzuchem dziewięciomiesięcznym, by wreszcie wrócić do dawnych rozmiarów, będzie musiała przyznać, że za kierownicą czyta *Pudelka*, zamiast patrzeć na drogę. Dziecko będzie jeszcze za małe, by wziąć winę na siebie i tym sposobem idealny, bezkonfliktowy związek oparty o zasadę „Jestem w ciąży” może lec w gruzach.

– Co tak cię śmiesz? – głos Mateusza wyrwał ją z rozmyślań.

– Uśmiecham się do ciebie, bo cię kocham, wiesz – odpowiedziała i położyła dłoń na jego plecach.

– Korek do Szczyrku to standard. Jak byłem tu na nartach, to ciągnął się już od Buczkowic, więc dziś i tak mamy szczęście.

Na potwierdzenie jego słów zatrzymali się tuż za rondem w Buczkowicach, a przed nimi ciągnął się sznur samochodów zmierzających do perły Beskidu Śląskiego.

– Czytałem w necie, że mają robić jakiś przekop przez góry, bodajże od strony Brennej, ale znając życie i rządowe ułatwienia pewnie nic z tego nie będzie. Gdyby do miasta dało się wjechać prosto z ekspresówki, byłibyśmy już na miejscu – mówił do niej poirytowany.

Kobieta poprawiła okulary przeciwsłoneczne i sięgnęła do plecaka. Wyciągnęła z niego dwie zapakowane w folię spożywczą bułki i wręczyła mu jedną z nich.

– Zjedz sobie kotleta, bo gwiazdorzysz skarbie – zażartowała.

– Bardzo chętnie. Do celu mamy jeszcze kilometr, czyli pewnie z pół godziny – powiedział sarkastycznie.

– Wszędzie jest ten sam problem, Mati. Myślisz, że do Wisły czy Zakopanego nie ma teraz korków?

– Wiesz, że nie znoszę Zakopanego, więc to średni argument. Krupówki już dawno stały się chińskim jarmarkiem, a na jarmarkach zawsze jest tłoczno – odpowiedział błyskawicznie i spowodował, że wybuchła śmiechem.

Przytuliła się do niego na tyle mocno, na ile umożliwiało to skrzynia biegów i wyszeptala mu do ucha:

– Obiecuję ci, że nigdy nie zapomnisz tego wyjazdu. Jak tylko dojedziemy do „Konfederatki”, pójdziemy sprawdzić czy ich łóżka są tak duże, jak na zdjęciach.



Na miejscu czekał na nich śnieżnobiały dom ze stromym, spiczastym dachem w kolorze czerwonym. Magdalena od razu dostrzegła, że musiał zostać odnowiony stosunkowo niedawno, gdyż zewnętrzna elewacja nie nosiła jeszcze śladów zacieków, zaś ogrodzenie wokół domu wyglądało na zupełnie nowe. Do drzwi wejściowych prowadziła urokliwa alejka, wokół której rosły krzewy róż, a obok schodów gospodarze postawili dwie biało-czarne latarnie.

– Tu jest naprawdę cudownie! – zawołała podekscytowana i pociągnęła za klamkę furtki prowadzącej do ogrodu.

– Uważaj na psa – usłyszała głos Mateusza, który zajęty był wyciąganiem bagażu z niewielkiego bagażnika peugeota.

– Spokojnie. Nie było żadnej tabliczki, żeby miał tutaj...

Wypowiedź przerwało jej nagle szczekanie psa z lewej strony ogrodu i instynktownie cofnęła się o krok w kierunku furtki.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał zza pleców mąż, niosąc niebieską walizkę, w której aktualnie znajdował się cały ich dobytek.

– Ale słodziak! – Magdalena pisnęła z radości, gdy młodzianki labrador wybiegł zza krzewu i ze szczęściem ekscytacją zaczął lizać jej dłonie.

– Mam nadzieję, że nie ma pcheł... – skomentował mężczyzna i ostrożnie obszedł nowo poznane zwierzę.

– Daj spokój... on jest przecież cudowny!

Magdalena zupełnie nie przejmowała się jego opinią. Ilekroć temat schodził na czworonogi, jej facet zmieniał się w marudę i nieustannego krytyka. Jego niechęć do wszelkich zwierząt była tak wielka, że nie zdziwiłaby się, gdyby kiedyś zaproponowali mu w telewizji własny program. Coś na kształt „Z kamerą wśród zwierząt” Gucwińskich, z tą drobną różnicą, że uśmiechniętych zoologów zastąpiłby wkurzony ranczer z dubeltówką, w każdym odcinku wyjeżdżający na prerię, by ponarzekać na jeden z gatunków, a następnie przywieźć do studia trofeum. *Dzisiaj zapraszam was do Szczyrku, gdzie w ogrodzie pewnego pensjonatu spotkać można zapchlonego kundla Reksia, od którego polecam trzymać się z dala. Z ogrodu pełnego niepotrzebnych nikomu pchlarzy mówił Mateusz Jerzy Flis. Bez odbioru.* Ta projekcja szalenie ją rozbawiła, ale postanowiła zostawić ją dla siebie, gdyż nie chciała, by poczuł się urażony. Nie każdy przecież musi lubić słodkie psiaki, prawda?

– Byliście na miejscu? Coś ustaliliście? – komisarz odwrócił się na pięcie i spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Zamek w drzwiach był rzeczywiście wylamany, ale nic z domu nie zginęło. Spisałem cały raport i zaczniemy działać w sprawie od poniedziałku. Może to jakaś grupa zorganizowana? – zastanawiał się na głos młokos.

– Taaa, zorganizowana, jak polska armia w trzydziestym dziewiątym – parsknął Aleksander Dunaj. – Zadam ci trzy pytania, które przybliżą was do rozwiązania tej niezwyklej zagadki jeszcze przed piątkowym wydaniem dobranocki. Gotowy?

– Jeśli to znów jakiś rodzaj prowokacji, to nie mam na to sił ani ochoty...

– Gotowy, czy nie? – Dunaj nie dawał za wygraną.

– Słucham – powiedział obrażonym tonem.

– Doskonale. Pytanie pierwsze – kto zgłosił włamanie?

– Hanna Maliniak, lat 78, zamieszkała... – chłopak przeglądał raport próbując odnaleźć potrzebne informacje.

– Świetnie! – komisarz nie czekał na resztę wypowiedzi i kontynuował:

– Tak więc macie zgłoszenie od Hanny Maliniak, która wraz ze swoim mężem Zygmuntem dość często odwiedzana jest przez nasz patrol w związku z ekscesami alkoholowymi. Zdarzenia te zgłaszają kilka razy do roku mieszkańcy miasta, na czele z radnym Kaliciakiem.

– Wiesz, że nie pracuję tu na tyle długo, by to wiedzieć. Daj spokój stary...

W głosie młodego policjanta wyczuł niepewność, co było wodą na młyn, na jego pobudzone przez whisky EGO. Już parę minut temu postanowił, że da świeżakowi lekcję, którą tamten zapamięta na długo. I to wcale nie dlatego, że zakłócił on jego misterium i nie pozwolił, by bosa stópka półlitrowego Grantsa wydeptała raz jeszcze ścieżkę po ścianach przełyku.

– Pytanie drugie: Gdy przyjechaliście na miejsce, co wówczas robił Zygmunt Maliniak?

– To ten starszy pan, tak? – zapytał Dunaja, ale w jego wzroku odnalazł błyskawiczne potwierdzenie. – On spał. Pani Hanna mówiła, że jest bardzo zmęczony.

– Chyba nachlany jak biskopt! – Aleksander uderzył pięścią w stół. – Spał tam spity jak szpadel, a jego skacowana małżonka prowadziła z wami śledztwo.

– Nawet jeśli jest tak jak mówisz, to przecież znaleźliśmy ślady na drzwiach i połamaną futrynę, która...

– Te fragmenty uszkodzonych drzwi i kawałki drewnianej futryny leżały na zewnątrz budynku, czy na werandzie? – Dunaj zaatakował szybko i celnie jak karabin maszynowy.

Na twarzy dwudziestopięciolatka niepewność zastąpił wstyd pomieszany z irytacją. Prawdopodobnie dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak zmarnowali dwie godziny na spisywanie zeznań starszej pani.

– Były na zewnątrz – odpowiedział cicho i pokręcił głową.

– Bravo kadecie! Śledztwo rozwiązane! – komisarz triumfował. – Nocne eskapady pijanego Zygmunta Maliniaka skończyły się brutalnie na wyjściowych drzwiach domostwa, którymi zapewne udawał się na zewnątrz w celu oddania moczu. Nadzieja polskiej policji, która pojawiła się na miejscu, po zapoznaniu się ze sprawą, skazała winowajcę na sześć godzin snu i szklankę wódki. Kolejny sukces naszego komisariatu!

W pomieszczeniu zapadła niezręczna cisza, którą przerywało tylko cykanie zegara na ścianie. Mężczyźni stali naprzeciw siebie bez słowa jak rewolwerowcy w takim westernie, a powietrze przed nimi zdawało się falować z emocji. Wytrzymali tak przez około minutę i wreszcie Dunaj wybuchnął rubasznym śmiechem.

– Musiałbyś widzieć swoją miłą, młody... ha ha ha... wyglądałeś jakbyś właśnie dowiedział się, że jesteś niesłubnym dzieckiem dwóch Drag Queen... a to dobre... – policjant nie mógł opanować śmiechu.

Zażenowanie na twarzy chłopaka zniknęło i sam po chwili się uśmiechnął. Atmosfera w biurze oczyściła się momentalnie, a Dunaj skarcił się w myślach za to, że wciąż nie opanował metody rozmów z tak miękkimi policjantami, jak „młode wilki”. Był pewien, że pewnego dnia doprowadzi któregoś z nich do płaczu (kandydat w rurkach wciąż gwizdał przeboje Zenka Martyniaka obok radiowożu), ale musiał nauczyć ich fachu, zanim sam przejdzie na emeryturę.

– Z czasem poznacie to miasto i dowiecie się, kogo traktować poważnie, a kogo zupełnie zignorować. Ludzie mówią często niestworzone rzeczy, a waszą rolą jest sprawdzenie, czy w ich historiach jest chociaż ziarno prawdy – tym razem Dunaj mówił spokojnie i nie gestykułował. – A ta druga sprawa, o której mówiłeś, skoro Maliniaków mamy już z głowy?

– Rozmawialiśmy z rodziną Dubielów z Wrzosowej – zaczął Antoni znacznie pewniejszym głosem. – Twierdzą, że ich syn, Tomek, zaginął poprzedniego wieczora. Gówniarz ma szesnaście lat i pewnie siedzi gdzieś pod namiotem pałac trawkę, ale matka jest naprawdę przerażona, więc obiecaliśmy, że zaczniemy go szukać.

– Jesteś pewien, że chodzi o Tomka? – Dunaj był nieco zaniepokojony. – Chodził do gimnazjum z moją córką, ale z tego co wiem, to dobry chłopak, a i o rodzinie nie słyszałem nic złego – komisarz drapał się po brodzie.

– Dzieciaki się zmieniają i robią głupie rzeczy – skonstatował młody glina.  
– Wiesz coś o tym, ratlerku, prawda? – uśmiechnął się Dunaj i poklepał go po ramieniu. – Rozliczcie się z papierów i zmykajcie. Przejadę się po okolicy i może uda mi się czegoś dowiedzieć. Odpoczywajcie.

– Dzięki. Na razie.

Przybyła podał mu dłoń na pożegnanie i ruszył w kierunku drzwi, a gdy stanął na progu, rzucił jeszcze przez ramię:

– Wiesz co, Alek?

– Słucham.

– My naprawdę się staramy być coraz lepszymi glinami. Mam nadzieję, że to widzisz.

– Jasne, młody – odpowiedział Dunaj. – Musisz przywyknąć do mojego humoru. A... byłbym zapomniał... jeszcze jedno...

– Tak?

– Przekaż koledze przy radiowozie, że na ciuchach u Luizy rzucili właśnie różowe czółenka.

– Co?

– Będą pasować mu do rurek.



Pierwszego wieczoru po przyjeździe Magdalena i Mateusz udali się prosto do centrum miasta, aby rozejrzeć się po okolicy i coś zjeść. Mężczyzna z miejsca zauważył, że Szczyrk znacznie zmienił się od ubiegłego roku. Z sezonu na sezon przybywało straganów z pamiątkami, wszelkiej maści stoisk handlowych, w których kupić można było dosłownie wszystko, a przede wszystkim lokali gastronomicznych, które wyrastały przy ulicy Beskidzkiej, niczym grzyby po deszczu. W tej miejscowości było jednak coś, co wyróżniało ją spośród pozostałych krajowych kurortów. Naturalna swojskość – tak nazywał to Mateusz na swój własny użytek i było w tym określeniu sporo prawdy. Mimo że na pierwszy rzut oka Szczyrk wydawał się tętniącym życiem miejskim lunaparkiem, to jednak pod posypką dynamicznie rozwijającej się stolicy Beskidów znajdowało się nadzieje o smaku wyjątkowo prowincjonalnym. Owa wiejska mentalność widoczna była przede wszystkim w zwykłych kontaktach międzyludzkich, co przyjezdny z łatwością mógł zauważyć już pierwszego dnia pobytu. Pośród wyrafinowanych menu i wielogwiazdkowych hoteli wciąż były tu miejsca, gdzie za piwo można zapłacić później, a ludzie spotykani na ulicy pozdrawiali się z daleka jak dobrzy znajomi. Mateusz lubił tę małomiasteczkową mentalność, która zupełnie zagi-

nęła wśród klaksonów Warszawy. To właśnie ona powodowała, że bywając tu raz do roku pamiętał imię właściciela „Asa”, a zupełnie nie wie, jak zwrócić się do sąsiadki z naprzeciwka, w bloku na Mokotowie. I gdzie indziej w Beskidach, rozmawiając z panią sprzedającą oscypki, można było dowiedzieć się tytuł plotek, co tutaj?

– Czy możemy wreszcie coś zjeść, kochanie? Dzidzia zrobiła się głodna...  
– zwróciła się do niego żona, robiąc przy tym słodki wyraz twarzy i zmieniając głos na wyższy.

– Zaraz będziemy na miejscu. Mówiłem ci, że mam ochotę na baraninę, a poza tym bywam w tej knajpie od lat i tak łatwo nie zmienię przyzwyczajenia – odpowiedział z uśmiechem.

– Chciałam tylko nieśmiało przypomnieć, że jest nas troje – wskazała na brzuch i kontynuowała – a twój syn najwyraźniej miał ochotę na burgera albo koktajl truskawkowy cztery knajpy temu...

Mateusz lubił się z nią przekomarzać, szczególnie, gdy tak jak teraz tryskała dobrym humorem i układała wargi w podkowę, udając irytację. Wyglądała wówczas naprawdę pięknie.

– Chwilo trwaj. Powiedz dzidzi, że jesteśmy na miejscu.

Mężczyzna wskazał dłonią na lokal po prawej stronie o nazwie „As”. Był to średniej wielkości budynek obity z zewnątrz belkami drewna, które nadawały mu góralskiego charakteru. Wewnątrz siedziało zaledwie kilka osób, a większość klientów oblegała stoliki na zewnątrz, zerkając raz po raz na rozpalony w środku żeliwny grill.

– Prawdziwe asy jedzą górskie rarytasy – powiedział Mateusz i weszli do środka.



Komisarz Dunaj minął radiowozem młode małżeństwo, które właśnie wchodziło do knajpy w centrum i rzucił okiem na pośladki blondynki, która była całkiem atrakcyjna. Dopiero po chwili zauważył, że jest w ciąży, bo dość skutecznie ukrywała brzuch za kolorową torebką.

– Facet ma szczęście – mruknął do siebie i przyciszył radio, gdzie Dawid Podsiadło po raz setny powtarzał nieśmiertelne: *nie ma fał, nie ma fał, nie ma fał...*

– Nie ma fał, bo jesteśmy w górach, Dawid i nie ma też łódek, choć rudym Frankiem zamiata, jak przy największym sztormie.

Mężczyzna o płomiennym kolorze włosów i równie ognistym usposobieniu rzeczywiście ledwo łapał równowagę w centrum miasta. Był to znany w całym

mieście alkoholik, który od wczesnych godzin porannych aż do późnego wieczora prowadził się w imię zasady „prawy do lewego”, z krótkimi przerwami na drzemkę. W komisariacie nazywali go „piwkomat”, a określenie to wymyślił jakiś czas temu jeden z ratlerków. Dunajowi całkiem się ono podobało, zwłaszcza, że Rudy Frank rzeczywiście miał w sobie coś z robota. Im więcej monet o nominale pięćdziesięciu groszy udało mu się wyłudzić od naiwnych turystów, tym zwawiej i sprawniej poruszał się po Szczyrku w poszukiwaniu kolejnych okazji. Komisarz przypuszczał, że w sezonie Rudy Frank mógł dziennie zarobić na tym procederze więcej niż wynosiła pensja psa z kilkunastoletnim stażem.

Zatrzymał radiowóz obok sklepu z pamiątkami i wysiadł.

– Hallo! Ziemia do Franka, ziemia do Franka! – zawołał, idąc w jego kierunku.

Pijak w odpowiedzi przekręcił głowę w lewo i spróbował skrócić w kierunku deptaka. To rzecz jasna nie mogło się udać. Sekundę później potknął się i wylądował całym ciałem na pomniku stojącym na środku placu św. Jakuba.

– Ale nie robimy dziadostwa, Frank! – komisarz podbiegł i chwycił go za ubrania, by utrzymać ciało w pionie. – Możesz stać?

„Piwkomat” wybełkotał coś na zasadzie odpowiedzi i beknął przy tym ohydnie, a Dunajowi zrobiło się niedobrze.

– Ty w ogóle coś jadasz Frank, czy tylko chlejesz od rana do wieczora? – pytanie Dunaja było retoryczne. – Biedna ta twoja baba.

– To mnie... bulp... naka... rm... Alek, psia... kość... – odpowiedział mu czkając.

– Ty pewnie już dawno przepiłeś, to co zarobiłeś, prawda? Najchętniej wziąłbym cię na izbę, ale nie będę robił problemów Beacie. Ma ich z tobą już wystarczająco wiele – warknął i pomógł mężczyźnie dojść do najbliższej ławki.

– To... dasz mi... bułkę... Alek... ?

– Dam ci, durniu – westchnął Dunaj. – Tylko masz tu grzecznie czekać, jasne?

– Jasne...

Najbliżej było do gospody „Młyn”, więc mężczyzna podszedł do baru i zamówił podwójne frytki i ciepłą herbatę. Młoda kelnerka uśmiechnęła się niewyraźnie i podała paragon z zamówieniem na kuchnię.

– To będzie na wynos – rzucił do niej.

Po chwili szedł już w kierunku ławki z plastikową tacką, na której znajdowała się solidna porcja frytek, sownicie polanych ketchupem, w drugiej ręce trzymając parującą herbatę malinową z plasterkiem cytryny.

– Rudy Frank ma dziś *all inclusive*, do jasnej cholery... – zaklął na głos zbliżając się do pijaka.

Mimo że Dunaja nie było raptem kilka minut, miejscowy gwiazdor zdążył opaść głową na ławkę i zasnął w pozycji embrionalnej, przeciągle pochrapując. Dopiero teraz policjant poczuł odór, jaki niósł się od Franka. Była to mieszanka potu, alkoholu i moczu – perfumy wszystkich odwożonych do najdroższego hotelu w okolicy.

– Pobudka, dupku!

Aleksander Dunaj szturchnął go pod żebro kilkukrotnie i dopiero wtedy mężczyzna ocknął się i z ledwością usiadł.

– Dziękuję ci, królu złoty. Kawalerze piękny...

Rudy Frank prawie wyrwał mu z rąk tackę i łapczywie wkładał frytki do ust, brudząc ketchupem twarz. Część jedzenia wypadła z drżących dłoni i lądowała obok ławki, ale najważniejszy efekt wydawał się być osiągnięty – mężczyzna zaczynał powoli odzyskiwać resztki rozumu, jakie tliły się w zatrutym alkoholem mózgu.

– Siądziesz na dupie na dziś, czy jedziemy na wycieczkę, Frank? – zapytał Dunaj, gdy tamten był już w stanie samodzielnie utrzymać kubek z herbatą.

– No proste Alek, że do domu prosto... To się rymuje, co nie? A ja nawet nie czuje, kiedy rymuje...

– Jedyne, co się rymuje to chlanie i lanie, wiesz? – odpowiedział mu i wyciągnął z kieszeni papierosa. – Tak więc jeśli nie chcesz mieć dziś problemów, to idziesz teraz grzecznie do domku, zapukasz cicho do pokoju Beatki i położysz się spać.

– Co ty Alek... ona mi znów... ona mi znów pojechała gdzieś – odpowiedział cicho, jakby właśnie po raz pierwszy tego wieczora poczuł wstyd.

– Jak się nachlałeś, to pojechała. Nie chcę cię widzieć dziś na mieście, Frank, i nie biorę cię na izbę tylko przez wzgląd na dawne czasy.

Było w tym zdaniu trochę prawdy. Wiele lat temu Dunaj, Rudy Frank i Szpak stanowili jedność. Przyjaźń rozkwitała szczególnie w szkole średniej, gdy spędzali ze sobą cały wolny czas. Potem ich losy rozdzieliły się. Dunaj skończył resocjalizację na Uniwersytecie Lubelskim i przez kilka lat mieszkał na wschodzie kraju, gdzie zaciągnął się do służb mundurowych. Szpaku został szefem kuchni w bielskiej restauracji, a niedługo później zachorował na glejaka i zmarł. A Frank?

Frank miał jedną miłość od zawsze i była to gorzała. Gdzieś w tym związku z wódką pojawiła się też ich wspólna kumpela Beata, która z niewiadomych dla



Dunaja względów postanowiła wyjść za Rudego Franka, a nawet mieć z nim syna. Kiedy w 2008 roku komisarz postanowił powrócić w rodzinne strony i objąć posadę w szczyrkowskim komisariacie, jego dawny przyjaciel szorował już dno, a piękna niegdyś Beata wyglądała jak nieszczęśliwy kopciuszek. Historia jakich wiele w beskidzkich miasteczkach, a mimo to tragiczna.

– Mam cię odwiedzić Frank, czy dojdiesz jakoś do domu? – zapytał go Aleksander, widząc, że podnosi się z miejsca.

– Już mi lepiej... panie władzo. Dziękuję za żarło...

– Nie denerwuj mnie już, bo zmienię zdanie.

– Idę przecież, idę...

Mężczyzna obrócił się na pięcie i powoli ruszył w kierunku deptaka. Gdyby siedł prosto, wciąż przypominałby tego samego beztroskiego chłopaka, z którym łączyła ich niegdyś przyjaźń.

– Frank... – zawołał go Dunaj, a mężczyzna się odwrócił.

– Co jest?

– Cały dzień kręcisz się po mieście, to może pomożesz mi w pewnej sprawie – zaczął komisarz. – Zgubił się małolat, Tomek Dubiel.

– Z Wrzosowej, od Józka?

– Zgadza się. Nie widziałeś go gdzieś na mieście wczoraj w nocy albo dzisiaj? Jego rodzice bardzo się martwią, a podejrzewamy, że włóczy się gdzieś, jak to nastolatki.

Rudy Frank przystanął i uśmiechnął się nagle, ukazując przegniłe resztki zębów.

– Może słucha szeptów, kto wie... szeptu czasem myślą drogi...

– Pytam poważnie, Frank. – Dunaj nie miał ochoty dłużej słuchać tego bełkotu.

– Sęk w tym, że ty nie chcesz słuchać, Alek. Nigdy nie umiałeś słuchać. Ty nie słyszysz nawet krzyku, a co dopiero szeptu, wiesz?

– Jakbyś go widział, natychmiast mnie poinformuj. I nie chleń tyle, bo marnie skończysz.

Komisarz odwrócił się i ruszył w kierunku radiowozu. Nie było sensu dłużej uczestniczyć w tym szaleństwie.

– Dunaj! – krzyczał za nim Rudy Frank. – Nie umiesz słuchać, wiesz? Nigdy kurwa nie umiałeś!

Odpalił radiowóz i zasunął szybę, by się dłużej nie denerwować. Frank sięgnął dna, co do tego nie było już żadnych wątpliwości.

– Powiadam wam: jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą! Słyszysz, Dunaj?!  
– ryczał Rudy Frank na przemian śmiejąc się i kaszląc.  
Mężczyzna włączył prawy migacz i ruszył przed siebie z piskiem opon.



– Jezu drogi! Czy on musi tak krzyzczeć? – Magdalena Flis zatkała uszy i odłożyła widelec na talerz.

– Każde miasto ma swojego Jima Morrisona, skarbie – odpowiedział jej mąż przełykając wypieczony kęs baraniny.

Kobieta odprowadziła wzrokiem odjeżdżający w dół radiowóz i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Widziałeś tego policjanta? Pogadał z nim i pojechał, a facet ledwo stoi na nogach. W Warszawie byłoby to nie do pomyślenia.

– Czy możemy na te kilka dni zapomnieć o Warszawie i szklanych domach? – zapytał jej partner.

Popatrzyła na Mateusza, który zastygł w dość komicznej pozie, trzymając widelec w dwóch palcach, jak rzutkę przygotowaną do gry w dartsy.

– Pewnie – zgodziła się, po czym dodała – ale musisz przynieść mi koktajl truskawkowy, posypany białą czekoladą, tylko taką startą na wiórki, a nie z posypką gotową.

– Myślisz, że przy barze mają coś takiego? Wiem, że jesteś w ciąży, ale...

– Jeśli nie będzie to przynieś coś innego, ale równie dobrego.

– Ogórki z czekoladą? – zażartował Mateusz.

– Ruszaj się szybciej, bo jesteśmy z Miłoszkiem głodni – ponagliła go.

Odprowadziła męża wzrokiem, a kiedy tylko zniknął za progiem grill-baru „As”, błyskawicznym ruchem wyciągnęła z torebki cienkie LM-y niebieskie i zapalniczkę. Odpaliła i kilkukrotnie zaciągnęła się mocno. To był pierwszy papieros tego dnia i spowodował, że aż zakręciło jej się w głowie. Rzuciła okiem na bar, ale jej mąż stał wciąż odwrócony plecami do ich stolika i gawędził z właścicielem. Mateusz nigdy nie tolerował jej nałogu, ale gdyby dowiedział się, że pali w ciąży, zrobiłby jej piekielną awanturę. Przez kilka lat ich związku nauczyła się sztuki palenia fajek w taki sposób, by nie wzbudzać najmniejszych podejrzeń. Robiła to przede wszystkim błyskawicznie i doskonale zacierała ślady. Jej popisowym numerem było wcieranie igieł sosnowych w opuszki palców, co powodowało, że cały zapach tytoniu zmieniał się w zapach lasu. Pałac w „Asie” nie miała jednak żadnej zasłony dymnej (swoją drogą rozbawiło ją to określenie), więc starała się jak najszybciej skończyć.

– LM łączy się z Orange... – powiedziała sama do siebie, gdy poczuła, że pali filtr i ruszyła do stolika w samym rogu, aby wyrzucić tam niedopałek.

– Psst... – usłyszała nagle gdzieś zza krzaków i prawie pisnęła ze strachu.

– Czy ktoś tu jest? Dzień dobry... – zawołała w kierunku, z którego usłyszała dźwięki i powoli rozgarniała krzewy rosnące wzdłuż lokalu.

– Tutaj panienko. Tutaj jestem. Bardzo proszę.

Tym razem głos dobiegał już wyraźnie z głębi ogrodu, który przylegał do baru. Magdalena nie należała do przesadnie strachliwych osób, ale w tym ochryplym, starym głosie było coś niepokojącego.

– Czy potrzebuje pani pomocy? O co chodzi? – zawołała, ale odpowiedział jej tylko szum wiatru.

Niedopałek papierosa zgubiła już kilka metrów wcześniej i szła przed siebie ostrożnie, uważając by nie wbić czegoś w nogę w wysokiej trawie. Japonki nie były najodpowiedniejszym obuwiem, by łązić po chaszczach, ale ciekawość zwyciężyła. Ogród był nieco większy niż zakładała w pierwszej chwili i wydawało się, że nikt nie zajmuje się nim od dawna. Po lewej stronie znajdował się drewniany płotek, który zdążył już spróchnieć, a część desek leżała w nieładzie wzdłuż pokrytej płaskimi kamieniami alejki.

– Halo! Proszę się nie wygłupiać, bo zaczynam się martwić. Czy wszystko OK? – turystka ponowiła swoje pytanie.

– Tak dziecino. Chciałam tylko cię zobaczyć – odpowiedział jej głos i wiedziała już, że dobiega zza domu.

Magdalena wychyliła się zza rogu z pewną dozą ostrożności. Nie spodziewała się rzecz jasna widoku upiora ani seryjnego mordercy, ale obejrzone horrory, w połączeniu z buzującymi hormonami, powodowały, że jej wyobraźnia działała jak mała elektrownia jądrowa.

– Podejdź bliżej. Daj staruszce nacieszyć oczy, kochanie – zwróciła się do niej przygarbiona kobieta, siedząca w zarośniętej bluszczem altanie.

– Trochę mnie pani wystraszyła...

– Zupełnie niepotrzebnie, dziecino. Rzadko kogoś tu zapraszam, a dziś akurat zobaczyłam, że wchodzisz tu w tym błogosławionym stanie – odpowiedziała jej staruszka i wyciągnęła z drewnianego naczynia jasne kulki zawinięte w siatkę.

– Robi tu pani masło? – zapytała Magdalena i weszła do altany.

– Ależ nie. To moje ukochane serki. Przeleżały przez noc w solance i teraz będą schnąć – odpowiedziała jej i wycisnęła nieco mętnej wody z powrotem do naczynia.

– Nigdy nie widziałam, jak robi się oscypki. Ciekawe, że panią tu spotkałam.  
– Wiesz już, jak nazwiesz swój mały skarb? – kobieta zmieniła temat i palcem wskazała na jej brzuch.

– Miłoszek. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za miesiąc będzie już z nami.

Uśmiechnęła się do pracującej w altanie staruszki i dodała po chwili:

– Jeśli wszystko u pani gra, to pozwoli pani, że wrócę już do męża. Zniknęłam, kiedy zamawiał jedzenie i zaraz pewnie wpadnie w panikę.

– A ty złotko masz skłonności do wpadania w panikę?

Pytanie było dziwne, ale mimo to wciąż uśmiechała się niewyraźnie.

– To zależy czy jest się czego bać – odpowiedziała kobiecie.

– Powiedz mi kochanie, czy boisz się bardziej ropuch, czy pajaków? – staruszka świdrowała ją spojrzeniem, w którym było coś niepokojącego. A może to pierwsze oznaki demencji?

– Myślę, że są interesujące. Nie boję się zwierząt, bardziej ludzi. Do widzenia i miłego dnia.

Odwróciła się na pięcie i już miała ruszyć w kierunku lokalu, gdy nagle poczuła na nadgarstku zimny uścisk.

– Masz rację. Ludzie czasem nie rozumieją, że ten kogo powinni się bać jest tuż obok, w lustrze – wyszeptała do niej starowina, wciąż mocno ściskając za rękę.

– To bardzo ciekawe, ale naprawdę muszę już iść.

Zdecydowanym, ale niezbyt agresywnym ruchem ściągnęła z nadgarstka skostniałe palce dziwnej kobiety i ruszyła w kierunku żywopłotu, za którym Mateusz już machał w jej stronę.

– Kiedy serki się uwędzą, chętnie zaproszę cię do bacówki, skarbie – zawołała za nią jeszcze nieznajoma.

– Źle się poczułaś, kochanie? – mąż spojrział na nią z troską.

– Nie. Nie wiem... może... po prostu starość jest momentami przygnębiająca – odpowiedziała mu i usiadła przy stole.



Komisarz Aleksander Dunaj miał o starości podobne zdanie, choć na zewnątrz udawał, że upływający czas dotyczy wszystkich oprócz niego. Nawet teraz, gdy jechał na ulicę Wrzosową, by porozmawiać z rodziną Dubielów na temat zaginięcia ich syna Tomka, starał się jak najrzadziej patrzeć we wsteczne

lusterko. Człowiek, którego tam widział był znacznie starszy od tego, którego chciał pamiętać. Na jego głowie pojawiły się już spore zakola, a bujne niegdyś blond włosy pokrywał srebrny nalot, który złośliwi nazywali siwizną. Sam Dunaj zdecydowanie wolał określenie „księżycowy pył” i nie miałby nic przeciwko, by właśnie w ten sposób nazywać ten kolor w jego obecności.

– *Tu Radio Bielsko. Przedstawiamy informacje z ostatniej chwili. Tylko u nas najświeższe wiadomości z regionu* – odezwał się spiker w głośniku i Dunaj pogłośnił. – *Prezydent miasta Żywca Antoni Szlanort otworzył oficjalnie wystawę „Maska w przestrzeni i kulturze”, na której zobaczyć można eksponaty z wielu odległych miejsc świata, m.in. z Gabonu, Brazylii, a nawet Wysp Wielkanocnych. Jak ważne jest to wydarzenie dla żywieckiego muzeum, opowie kierownik obiektu Barbara Ryś...*

– Maski... – burknął do siebie policjant – ciekawe, czy zaprosili Jima Carreya?

W kolejnej porcji materiału podkreślono, że zebrane z całego świata maski są ewenementami w swoich krajach, a najstarsze z nich mają nawet po kilkaset lat.

– *Pozwalały one przeistaczać się w dowolną osobę i stanowiły coś w rodzaju łącznika między rzeczywistością jaką znamy a zaświatami. To niesamowite, że maska na tak różnych szerokościach geograficznych pełniła tak podobną i kluczową dla kultury funkcję* – zakończył komentator rzeczowo.

Dunajowi przyszło na myśl, że sam chętnie założyłby maskę i już na zawsze pozostał gliną w świetnej formie. Dajmy na to maskę żwawego stróża prawa... bez „księżycowego pyłu”, rzecz jasna...

– *A teraz wiadomość, która dotarła do nas od jednego z zaniepokojonych słuchaczy* – zapowiedział złowrogo prowadzący. – *Ktokolwiek widział lub zna miejsce pobytu małoletniego mieszkańca Szczyrku, proszony jest o kontakt z najbliższą jednostką policji. Zaginiony to Tomasz Dubiel, lat szesnaście, ostatni raz widziany był w dniu 25 lipca na ulicy Wrzosowej. Ubrany był w niebieską koszulkę Nike oraz bojówki w kolorze khaki. O pomoc prosi zrozpaczona rodzina...*

– No to zajeście! – syknął wściekły Dunaj i uderzył ręką w kierownicę.

Kiedy rodzina decydowała się powiadomić media, przeważnie zwiastowało to kłopoty. Jeśli decydowała się na ten krok następnego dnia po zaginięciu, to dodatkowo wysyłała jasny sygnał, że nie bierze pod uwagę teorii o wagarach, gigancie czy nowej dziewczynie. Byli przekonani, że ich syn padł ofiarą przestępstwa. To zazwyczaj przyczyniało się do jeszcze większego zamętu i dokładało element presji społecznej, której poddawano każde działanie szczyrkowskiej policji.

„Teraz brakuje nam tu tylko wojewódzkich i może koło Gwiazdki wygrzebiemy się z papierów” – pomyślał wjeżdżając na podjazd przed domem Dubielów.

Gospodyni wyglądała, jakby czekała na niego w oknie, bo gdy tylko wyłączył silnik podbiegła do radiowozu rozemocjonowana.

– Nareszcie, Panie Aleksandrze! Czy macie jakieś wiadomości o Tomku? Proszę powiedzieć, że tak! – wołała szarpiąc go za rękaw koszuli.

– Niestety jeszcze nie, pani Dubielowa, ale pracujemy nad tym – odpowiedział, unikając jej spojrzenia, a mimo to był pewien, że blask w jej oczach zniknął.

– Ale jemu na pewno coś się stało. Nasz Tomek to spokojne dziecko. Nigdy w życiu nie zostałby na noc gdzieś, nie informując nas o tym – wyliczała kobieta, jakby miało to coś zmienić.

– Przede wszystkim musicie zachować spokój. Dzieciaki mają czasem swoje powody, by stracić się nam z oczu. Wszystko będzie dobrze, pani Dubielowa – powiedział, a gdy zobaczył przerażenie na jej twarzy skłamał: – Jestem tego pewien.

– Nasze dzieci uczyły się razem, panie Alku. Pan wie, jak bardzo boli strata...

Wiedział aż za dobrze, ale z całą pewnością nie miał ochoty z nią o tym rozmawiać. Dałby wiele, by ten dzieciak wszedł tu teraz chwiejnym krokiem i powiedział, że ostatnie dwa dni spędził na dzikiej imprezie kilka kilometrów dalej, ale jak na złość nic takiego się nie wydarzyło.

– Czy Tomek miał ostatnio jakieś problemy? Może zauważyliście w jego zachowaniu coś nietypowego?

– Nie wydaje mi się – matka chłopaka pokręciła przecząco głową. – Jak każdy nastolatek miał lepsze i gorsze dni, ale raczej nie mieliśmy z nim problemów.

– A w szkole? Jakież nowe znajomości? Może fascynacje? – ciągnął wywiad Dunaj.

– Na litość boską, nie! Próbuje pan go winić za to, że zniknął? – krzyknęła kobieta i rozplakała się bezsilnie.

– Ostatnio sporo czasu spędzał w lesie – niski męski głos odezwał się z głębi ogrodu.

Komisarz rozpoznał ojca Tomka, którego rzadko spotkać można było w mieście. Chodziły pogłoski, że podupada na zdrowiu psychicznym, ale znając szczyrkowskie plotkarstwo nie mógł być pewien, czy to prawda.

– Tomek często chodził do lasu z tą dzikuską z Podmagury. Mówiłem gówniarzowi, że tego kwiatu jest pół świata, ale kto by tam słuchał starego ojca – kontynuował Dubiel i zbliżył się do radiowozu.

– A ty znowu swoje! – zaatakowała go żona. – W tym wieku dzieciaki się przecież spotykają, panie Aleksandrze. Mąż najchętniej trzymałby Tomka pod kluczem do trzydziestki.

– Ta mała to wiedźma, mówię panu. Zresztą jak cała ta pochrzaniona rodzinka – ojciec Tomka zignorował zupełnie jej wypowiedź.

– O kim dokładnie mówimy? – Dunaj wyciągnął notes i czekał na więcej informacji.

– Zuzka od Wilczyńskich. Wszyscy tam wielcy artyści, rzeźbiarze, pal ich licho. Jak nie dłubią dłutem to tarota stawiają, a teraz mi chłopaka na manowce sprowadzili – odpowiedział mu.

– Daj spokój, Jurek! Co ty za brednie opowiadasz panu komisarzowi?! – oburzyła się Dubielowa, ale mimo to Dunaj zapisał ten trop.

– Czy pański syn widział się z Zuzanną Wilczyńską w dzień zaginięcia? – dopytywał policjant.

– A kto ich tam wie? Byłem u nich z tydzień temu i powiedziałem, co myślę o tej ich szczeniackiej miłości. Syna mi na złą drogę sprowadzą czorty piekielne.

– Coś konkretniejszego, panie Dubiel? – poprosił Dunaj.

– A no to niech pan podjedzie i zobaczy, co też w tej chałupie się dzieje. Całą bandę na kolanach spotkałem. Babkę, tego starego i Zuzkę z moim Tomkiem. Klęczeli sobie w kółku, jak jakieś dzieci kwiaty, a na środku nic innego jak diabelska figurka – mówił rozemocjonowany mężczyzna, a komisarz zaczął podejrzewać, że w plotce o chorobie psychicznej może być jednak ziarnko prawdy.

– Rozumiem, że zabrał pan wówczas syna do domu?

– A gdzie tam, panie! – oburzył się mężczyzna. – Jak tylko go za fraki szarpnąłem, żeby do domu zabrać, jak nie skoczy na mnie ta stara...

– Starsza pani Wilczyńska, tak? – wciąż notował.

– Dokładnie ta wiedźma... choć w pierwszej chwili jej nie poznałem... jej twarz... – widać było, że Dubiel próbuje sobie przypomnieć. – Jej twarz nie należała do niej. Wyglądała, jakby była kimś zupełnie innym. Jakby to była...

– Spokojnie. Niech pan spróbuje sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów.

– Niby ona, ale przerażająca. Nie widziałem takiego piekielnego cholerstwa nigdy wcześniej, panie władzo.

– I rozumiem, że ta postać pana zaatakowała, tak?

– Przeciwnie. Powiedziała tylko jedno krótkie słowo i mój własny syn kazał mi się wynosić. Krzyczał wniebogłosy i wypychał mnie w kierunku wyjścia, jakby coś w niego wstąpiło. Mój... mój Tomek nigdy tak się wcześniej nie zachowywał...

– Czy pamięta pan, co dokładnie powiedziała pani Wilczyńska? – zapytał Dunaj widząc, że jego rozmówca jest na granicy załamania.

– Jahbulon, powiedziała... Jahbulon nadchodzi.



Wskazówki drewnianego zegara z kukułką wskazywały dokładnie 19.30, kiedy Magdalena Flis zauważyła na suficie sporej wielkości pająka. Wzdrygnęła się, przesunęła poduszkę na prawą stronę łóżka i przypatrywała się intruzowi z niesmakiem.

– Mateusz... możesz podejść tu na chwilę? – zawołała w kierunku salonu, ale nikt jej nie odpowiedział.

– Pewnie wyszedł do ogrodu... – westchnęła w myślach, ale nawet przez moment nie spuściła wzroku ze stawonoga, który najwyraźniej przystąpił do snucia pajęczyny w rogu pokoju.

„Powiedz mi kochanie, czy boisz się bardziej ropuch, czy pajaków?”... Nie, to nie tak, że cierpi na arachnofobię, ale od zawsze te stworzenia wzbudzały w niej obrzydzenie. Winowajcą był jej brat, który w dzieciństwie uwielbiał ją nimi straszyć. Jego ulubioną zabawą była „arena”. Polegało to z grubsza na tym, że łapał do słoika największego znalezionego w ogrodzie pająka, a następnie polował na innego owada, którego umieszczał w tym samym słoiku. Najczęściej była to pszczoła lub trzmiel, ale zdarzały się też mrówki, pasikoniki czy żuki. Kiedy już nieszczęśnicy znajdowali się w słoiku, robił w pokrywce niewielkie otwory, którymi do środka dostawało się powietrze. Następnie uradowany biegł do domu, zabierał z ich kolorowego biureczka kartkę, z której wycinał niewielki fragment i pisał drukowanymi literami np.:

„ARENA 32: PAJĄK KONTRA OSA”.

Jak nietrudno się domyśleć, stworzenia trzymane tak przez dłuższy czas zaczynały ze sobą walczyć, a jej starszy brat z zainteresowaniem śledził cały proces. Magdalena Flis była wówczas pięcioletnią dziewczynką, która całe dni spędzała na zabawie lalkami Barbie, łatwo więc sobie wyobrazić, co czuła widząc tę powiększającą się, makabryczną kolekcję. Jakby tego było mało, jej brat często potrząsał z zaskoczenia słoikiem przed jej oczami, a wówczas pająk łączył się z przeciwnikiem w zabójczym tańcu, z którego żadne ze stworzeń nie wychodziło żywe. Zabawa w „arenę” była dla pięciolatki tak traumatycznym



przeżyciem, że przypomniła jej się nawet teraz, kiedy leżała wygodnie na łóżku w „Konfederatce”. Historia „aren” i wątpliwych fascynacji jej brata nie znalazła finału w postaci wychowania psychopatycznego mordercy, na co wskazywać mogłyby przykłady z przeszłości. Andrzej został biologiem i od siedmiu lat pracował w Liceum Ogólnokształcącym, opowiadając o płazach, gadach i stawonogach, rzecz jasna. Magdalena Flis była prawie pewna, że nie pamięta on „areny 32” tak szczegółowo, jak ona sama.

– Czy życzy sobie pani kolację, czy też ma zamiar kręcić nowy odcinek dla „Animal Planet?” – z rozmyślań wyrwał ją głos Mateusza, który pojawił się w progu nie wiadomo skąd.

– Długo tu jesteś? – zapytała przecierając oczy.

– Dostatecznie długo, by zauważyć, że przyglądasz się temu maleństwu z cholernie kwaśną miną.

Mężczyzna podsunął taboret i mimo głośnego sprzeciwu Magdaleny chwycił pająka w dłoń.

– Fuj! Weź mi go stąd! Fuj!

– Biedny spiderman... popatrz jak cię tu traktują... – droczył się z nią mąż, a pająk wędrował z jednej dłoni na drugą, próbując znaleźć drogę ucieczki.

– Czy możesz do cholery zabrać stąd tego pieprzonego pająka?! – wrzasnęła i sama przestraszyła się siły swojego głosu.

– No już dobrze, niech ci będzie – odpowiedział Mateusz, najwyraźniej zdziwiony jej reakcją. – Nie sądziłem, że masz z nimi aż taki problem.

– Bo nie mam. Jestem w ciąży, jakbyś nie zauważył.

Mężczyzna westchnął, otworzył okno i wyrzucił przez nie pająka. Siła tego argumentu po raz kolejny okazała się przydatna.

– Idziesz na kolację, czy nie? – zapytał jej delikatnie urażony.

– Chyba nie jestem głodna. Umyję zęby i położę się spać.

– Jak chcesz – odpowiedział i zamknął za sobą drzwi.

Magdalena siedziała na łóżku przez kilka chwil i próbowała wykrzesać w sobie energię potrzebną na dojście do toalety. Miłoszek kopał ją w brzuchu jak szalony, jakby odczuwał jej zdenerwowanie całą sytuacją. Położyła dłoń poniżej pępka i głaskała jego wierzgającą nerwowo stopę.

– No już skarbie... spokojnie pójdziemy sobie spać... – wyszeptła w kierunku dziecka.

Miłosz nie dawał jednak za wygraną i wiercił się niemiłosiernie, jakby już teraz chciał wydostać się na świat. Przez jedną, trwającą wieczność sekundę ko-

bieta wyobraziła sobie, że chłopiec przypomina teraz małego, włochatego pająka, który próbuje wydostać się z „areny 32” przez żółtą, metalową nakrętkę. Ta myśl spowodowała, że zrobiło jej się słabo.



W tym samym momencie komisarz Aleksander Dunaj całował klamkę domu Wilczyńskich i przeklinał pod nosem. Coś mu mówiło, by poczekać z rozpoznaniem do jutra, ale sprawa zaginięcia chłopaka była priorytetem. Jeśli przyjąć, że ojciec Tomka mówi prawdę o wpływie tej rodziny na zachowanie ich syna, to istniało prawdopodobieństwo, że mogą znać jego obecne miejsce pobytu. W dalszym ciągu był zwolennikiem tezy, że cała afera jest wynikiem okresu dojrzewania, a chłopak wraz z Zuzanną Wilczyńską znajdują się po kilku dniach pod namiotem na którejś z beskidzkich polanek, ale musiał sprawdzić wszystkie tropy. Szczeniacka miłość kończyła się zazwyczaj zranionym sercem i nie pozostawiała blizn na skórze... z wyjątkiem Romea i Julii, rzecz jasna.

Dunaj raz jeszcze zastukał w drzwi metalową kołatką, ale po drugiej stronie odpowiedziało mu tylko echo. Swoją drogą, kto w dzisiejszych czasach ma na drzwiach kołatkę zamiast dzwonka? Następnie włączył latarkę i postanowił obejść budynek, korzystając z nieobecności gospodarzy.

Dom miał z pewnością ponad sto lat i wybudowany był zgodnie z tamtymi standardami. Do wewnątrz prowadziła niewielka przeszklona weranda, do której wchodziło się po wybetonowanych, mocno leciwych schodach, a głównym materiałem wykonania budynku były drewno i słoma. Widząc stan elewacji można było zakładać, że deski nie były malowane od dekady, gdyż większość z nich spróchniała lub przegniła, odslaniając snopy przemoczonej słomy, w której obficie zalęgło się robactwo.

Dunaja jednak bardziej interesował ogród, o którym wspominał Jerzy Dubiel. Otworzył niewielką skrzypiącą furtkę i wszedł ostrożnie na tyły domu. Miał nadzieję, że Wilczyńscy nie mieli psa, ale na wszelki wypadek zostawił furtkę otwartą, by w porę zdążyć się wycofać. Podobnie jak w przypadku budynku, tutaj też widać było brak gospodarza. Trawa sięgała mu prawie do pasa, a na całym trawniku widać było liczne kretowiska, które w półmroku wyglądały jak leśne grobowce.

– A ołtarza Lucyfera, jak nie było tak nie ma – powiedział do siebie na głos, trochę dla żartu, trochę po to, by przerwać panującą wokół ciszę.

Po lewej stronie ogrodu rosły jabłonie i kilka uschniętych śliwek, których nikt najwyraźniej nie miał zamiaru wyciąć. Do domu prowadziła wydeptana w trawie ścieżka, a na jej drugim końcu Wilczyńscy zorganizowali coś w rodzaju prymitywnej altanki. Było to połączenie kosza plażowego, który pamiętał jeszcze czasy PRL-u, folii malarskiej i czterech palików wbitych niechlujnie w ziemię. Pod folią postawiono improwizowaną ławkę, a raczej deskę, do której ktoś przybił dwa nierówne pieńki drzewa.

– Nie lada melina, Milordzie... fiu fiu... – wygwizdał z siebie rozbawiony.

Komisarz mimo chęci nie znalazł w tym miejscu nic, co wskazywałoby na nieczne intencje Wilczyńskich względem chłopaka Dubielów. Chyba, że za takie uznać kilka butelek po Żywcu, których nikt nie sprzątnął w miejscu niedawnego ogniska. Nieco rozczarowany zawrócił w kierunku radiowozu. Już miał zamknąć za sobą furtkę, gdy ostatni raz zaświecił latarką w głąb ogrodu.

– A to co? Kociołek Panoramiksa? – zdziwił się.

Z boku meliny zwanej altanką leżał spory żeliwny kociołek, podobny do tych, jakich używa się do przygotowywania duszonek. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że cały garnek wypełniony był jakimiś zielonymi liśćmi. Czyżby dzieci kwiaty paliły tu marihuanę? Dunaj podszedł bliżej i wyciągnął ze środka garść liści oraz niewielkie fragmenty kory. Nie znał tej rośliny, ale pachniała w nieprzyjemny i gryzący sposób. Wszystkie liście były posiekane, podobnie jak fragmenty kory i korzeni, więc nie ulegało wątpliwości, że ktoś przygotował je tu specjalnie.

– Zabierzemy cię do laboratorium, maleńka i sprawdzimy, co też dobrego pichcą tu Wilczyńscy...

Dunaj spakował garść mieszanki do woreczka strunowego i wsadził do kieszeni. Następnie wsiadł do radiowozu i ruszył w kierunku doliny.



– Daleko jeszcze? – zawołał przed siebie Tomek Dubiel, ale odpowiedział mu tylko wiatr, który wprawiał konary w nerwowe drgania i powodował, że droga na Klimczok wyglądała posępnie.

Chłopak zaczynał powoli żałować, że dał się namówić Zuzie na ucieczkę z domu. Podejrzewał, że ojciec zgotuje mu prawdziwe piekło, gdy zjawi się z powrotem i z każdą upływającą godziną pogarszał tylko swoją sytuację.

– Dokąd my właściwie idziemy, kotek? – zawołał do niej, kiedy tylko fragment jej niebieskiego płaszcza zamajaczył gdzieś między krzakami.

– Bądź cicho, bo go obudzisz... – powiedziała teatralnym szeptem Zuzanna Wilczyńska, ale zwołniła na tyle, by zdołał zrównać się z nią.

Dziewczyna uśmiechnęła się tajemniczo, a na jej policzkach pojawiły się dołeczki, które uważał za najwspanialsze na świecie.

– Czy ten twój znajomy czeka na nas w schronisku na Klimczoku? Nie wiem, czy nas tam wpuszczą o tej porze...

– Nie. To już niedaleko stąd, Tomek – odpowiedziała mu i dodała z uśmiechem – wrócisz do staruszków zanim zdążą postawić na nogi pół miasta.

Kiwnął głową i ruszył przed siebie, ale mimo wszystko nie był przekonany, że tak właśnie będzie. Podejrzewał, że jego ojciec jest wściekły jeszcze bardziej niż ostatnim razem, gdy wparował do Wilczyńskich na ich sobotniego grilla. Do tej pory nigdy nie odważył się zniknąć na tak długo, nie mówiąc nic nikomu, chyba głównie ze względu na mamę, którą w gruncie rzeczy uważał za fajną babkę. Kiedy pomyślał, jak bardzo musi się teraz o niego martwić, zrobiło mu się głupio i był już bliski tego, by powiedzieć Zuzie, że rezygnuje z dalszej wycieczki. Jakby wyczuwając jego wahanie, powiedziała nagle:

– To tutaj. Za tym kamieniem jest wejście! – oznajmiła radośnie, jakby niewielki otwór w zboczu wzgórza był co najmniej bramą do lunaparku.

Znajdowali się przed wejściem do jaskini Ali Baby. Była ona umiejscowiona na południowo-zachodnim zboczu Klimczoka, a została odkryta stosunkowo niedawno, bo w 1987 roku przez dwójkę bielskich speleologów, o nazwiskach Czarnecki i Polański. Tomek słyszał o niej swego czasu od chłopaków, z którymi jeździł na deskorolce. Jego kumpel – Wąski, opowiadał, że ich pies podobno wpadł do środka podczas ubiegłorocznych mrozów i już nigdy nie wydostał się na zewnątrz. Nie wiedział, ile prawdy było w tej historii, ale z tej perspektywy jaskinia nie wyglądała na specjalnie głęboką.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ta impreza jest w jakiejś dziurze pośrodku niczego? – zwrócił się do niej nieco rozczarowany.

– Poczekaj tylko, jak to zobaczysz – odpowiedziała i pocałowała go w usta równie gwałtownie, co namiętnie. – Pomożesz mi?

Uwielbiał dotyk jej warg równie mocno, jak każdy zakochany nastolatek ubóstwia usta swojej pierwszej „prawdziwej” dziewczyny.

– Pomóż mi rozwinąć linę i przyczepimy ją do tego drzewa. Schodziłam już po niej na dół, więc bez obaw – damy radę.

Mimo że sam pomysł brzmiał już absurdalnie, to jednak ośrodek decyzyjny Tomka znajdował się w tym momencie zupełnie w innym miejscu niż mózg.

Tylko mieszanka testosteronu i adrenaliny mogła spowodować, że bez słowa pomógł przygotować dziewczynie solidnie plecioną linę alpinistyczną, a następnie przymocować do niej karabińczyk.

– To zakładasz przez nogi. Dokładnie w taki sposób – instruowała go i po chwili miał na sobie uprząż, która trochę ocierała go w kroku.

– Jeśli się zabiję to przekaz mojej mamie, że jej naleśniki z czekoladą były naprawdę dobre – powiedział trochę dla żartu, ale bardziej dla rozładowania własnego stresu.

– Przekażę jej kochanie, ale teraz odsuń się, bo ja przypnę się pierwsza. Wiem jak iść, by nie zrobić sobie krzywdy.

Dziewczyna mrugnęła do niego zalotnie i chwilę później stała jedną nogą nad czarnym otworem w zboczu góry.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

W odpowiedzi pomachała mu i zniknęła w ciemności. Usłyszał, jak odbija się stopami od ścian jaskini, aż odgłosy ucichły zupełnie.

– Wszystko w porządku?

Cisza.

– Nic ci nie jest?

Wciąż nic.

– Zuza?

Kilka metrów poniżej odezwał się niski i ponury głos:

– Zuzy już tu nie ma... nie zdążyłeś jej uratować, rycerzu na białym koniu...

– Nie rób sobie jaj...

– Chodź tu na dół, głuptasie. Musiałbyś słyszeć swój głos... hahaha...

Kilkumetrową studnię, stanowiącą wejście do jaskini Ali Baby, wypełniał śmiech Zuzanny, która stała bezpiecznie na zacisku, za którym znajdowało się rozgałęzienie korytarzy. Tomek podejrzewał, że studnia ma dobre kilka metrów i przypomniał sobie o psie Wąskiego, który pewnie leżał na jej dnie z roztrzaskanym łbem.

– Przypnij teraz swoją uprząż i schodź powoli. Tu jest trochę ciasno, ale później będzie już OK – zawołała z dołu.

Chłopak nie miał najmniejszej ochoty na wspinaczkę w środku nocy, ale nie było już odwrotu. Jeśli Zuza miała być jego dziewczyną, to nie mógł pokazywać jej strachu, nawet jeśli na sam widok kilkumetrowego szybu prowadzącego w nicość, robiło mu się niedobrze.

– Schodzę.

Trzymając się liny ruszył w dół studni, ocierając się kolanami i butami o jej ściany. Wewnątrz było nieco cieplej niż u góry, a z każdym metrem rosła też wilgotność powietrza. Im głębiej schodził, tym bardziej czuł się jak podczas inhalacji, gdy mama zakrywała mu głowę ręcznikiem, a znad garnka z wodą unosiła się w górę para.

– Postaw nogę po prawej stronie. Właśnie w ten sposób – poinstruowała go dziewczyna, gdy już znalazł się na dnie tego parnego szybu.

– Nawet nie wiedziałem, że mamy takie cuda kawałek od domu... – powiedział do niej, gdy już dotknął obiema nogami podłoża. – I nie ma psa Wąskiego...

– Czego?

– Nieważne. Kiedyś ci opowiem – odpowiedział wymijająco. – A teraz prowadź do tego fantastycznego miejsca. Nadal nie wiem, komu chciałoby się zorganizować imprezę w takich dziwnych okolicznościach, ale powiedzmy, że ci ufam.

– Ahoj przygodo! – zawołała i ostrożnie przełożyła nogi przez zacisk. Zwężka była niewielkich rozmiarów, ale odpowiednio manewrując ciałem zdołali przecisnąć się na drugą stronę. Znajdowali się teraz na rozgałęzieniu i skręcili w jego prawą odnogę.

– Gdybyśmy szli w lewo – wyjaśniała Zuza – dotarlibyśmy do Galerii. To najniższy punkt jaskini, ale on za nim nie przepada.

– On, czyli kto?

Pytanie Tomka pozostało bez odpowiedzi. Po pokonaniu kilku metrów dotarli wreszcie do sali, która oświetlona była za pomocą ośmiu symetrycznie rozwieszonych pochodni. Było to średniej wielkości pomieszczenie, na środku którego ktoś ustawił dużą glinianą wazę. Na ziemi wokół naczynia rozrysowano znaki i symbole, które przypominały chłopakowi hieroglify.

– To niesamowite. Jak komuś udało się tu stworzyć taki klimat?

Tomek rozglądał się po pomieszczeniu, które w drgającym świetle pochodni wręcz urzekło swoją tajemniczością.

– Masz monetę, o której ci mówiłam? – zapytała Zuzanna i dopiero teraz przypomniał sobie o schowanym w kieszeni bilonie. Gdy wspominała, że żelazna moneta jest biletem wstępu na imprezę z jej znajomymi, nie sądził, że odbędzie się ona w tak nieprawdopodobnej scenerii.

– Wrzuc ją do naczynia – poleciła Zuzanna.

Chłopak podniósł pokrywą wazy i poczuł mdławy, słodko-kwaśny zapach. Po chwili zawahania wrzucił pięciozłotówkę do środka. Jak za naciśnięciem jakiegoś magicznego przycisku jaskinię wypełnił przeciągły niski dźwięk. Siła me-

lodii, spotęgowana zamkniętym pomieszczeniem spowodowała, że fragmenty kamiennego sufitu posypały się na ich głowy.

– Co to za muzyka? – zdążył zapytać i w tym samym momencie z korytarza w głębi pomieszczenia wyłoniły się dwie szczupłe kobiety.

– Czekamy na was, Zuzanno. Czy kandydat jest gotowy? – zwróciła się do niej starsza z kobiet.

– Niech oceni to nasz rytuał, Sędziwa Matko.

– Niech i tak będzie.

Kobiety ukloniły się jednocześnie i podały obojgu niewielkie gliniane kubeczki. Tomek był zupełnie zdezorientowany.

– Czy wy tak zawsze, Zuza? – wymamrotał pod nosem, gdy kobieta nazywana Sędziwą Matką nabrała chochlą zielonkawego płynu z wnętrza wazy i nalała do ich kubków.

– To taka nasza ceremonia, kochany. Jeśli chcesz być częścią tej rodziny, musisz przez to przejść – uspokajała go dziewczyna.

Tomasz nie był do końca przekonany, czy rzeczywiście chce, ale byli już za daleko, by teraz się wycofać. Słyszał o wielu przedziwnych stowarzyszeniach i grupach tematycznych, ale tak odjechanego wieczoru się nie spodziewał. Miał jednak wybór: albo zostać tu i dowiedzieć się, jaki będzie finał tego abstrakcyjnego spotkania, albo wrócić czym prędzej do domu i nie móc przez kilka następných dni sięść na dupie, po laniu jakie dostanie od ojca.

– Raz kozie śmierć – stwierdził i wypił do dna zawartość kubka. Ciecz była gorzka i smakowała paskudnie.

– Co teraz? – spytał, gdy ostatni łyk przeszedł mu przez gardło.

– Teraz będziemy tańczyć – odpowiedziała mu Zuza, a gdy spojrzął w jej niebieskie oczy, zauważył, że tonie w ich głębi.

Chwilę później ktoś znów zadął w trombitę, a w ciemności rozległy się uderzenia w bębny.



Tej nocy blisko stuletni budynek „Konfederatki” ożył około trzeciej nad ranem. Najpierw niemrawo, jakby splecione w odwiecznym uścisku mięśnie słomy i desek rozciągnęły się niczym grzbiet domowego kota. Jęknął stary komin, przez który wiatr wślizgnął się do pokrytego białym marmurem kominka, stanowiącego centralną część salonu na parterze. Chwilę później Magdalena Flis usłyszała miarowe uderzenia o belki strychu, do którego turyści nie mieli dostępu, a na

którym budziły się właśnie ze snu zapomniane przez dzieci gospodarzy zabawki i pamiątki z lat dziecięcych. Dom trzeszczał, pracował niestrudzenie, zakłócając sen tylko tym, którzy nie znali jego niepokornego charakteru. Wybudowany w latach trzydziestych budynek miał charakter jego budowniczego, którym był człowiek wielu talentów – Paweł Cierniak. W swoim stosunkowo krótkim życiu zdążył opanować on sztukę ciesielską, założyć lokalną bibliotekę czy rozhulać dziesiątki wesel grą na klawirze. Mężczyzna ten był również twórcą, a jego poemat „Duch” do dziś jeszcze pamiętany był przez najstarszych mieszkańców Szczyrku. Muzykalnością i zamiłowaniem do opowieści przesiąkły więc fundamenty domu przy ulicy Beskidzkiej 123, o czym mogła się teraz przekonać Magdalena. Dom wygrywał melodie przeszłości dźwiękiem pracujących instalacji, trzeszczącym stropem, na którym nie ukrył się żaden krok lunatyka, stukotem kropel deszczu o czerwoną blachodachówkę. Gawędził o wychowanych w jego ramionach dzieciach, których głowy najpierw posiwały, by wreszcie zamienić się w popiół na widocznym za oknem cmentarzu. Szeptał o wojnie, mieszkających tu Niemcach, którzy bibliotekarza Pawła wraz z żoną Marią zamienili na lata w więźniów pod jarzmem okupanta. Ponoć, gdy dobrze przyłożyć ucho, usłyszeć można tu było jeszcze dźwięk akordeonu, który zostawił po sobie mąż aktualnej gospodyni.

„Nie śpij. Czuwaj. Czuwaj, jeśliś ciekaw, moich opowieści”. Stare domy mają dusze przodków, a ich charakter jest wypadkową przeżyć pokoleń mieszkańców. Ten był dostoyny, tajemniczy i na tyle niespokojny, że Magdalena Flis nie zmrużyła dotąd oka.

Okolo trzeciej trzydzieści wstała z łóżka i najciszej jak się dało przeszła do obitego białymi panelami saloniku. Dom nie dał się najwyraźniej nabrać na to nocne wymykanie się z sypialni i podłoga wydała z siebie odgłos skrzeczącej ropuchy. Kobieta spojrzała na śpiącego męża, ale ten tylko przewrócił się na prawy bok i delikatnie pochrapując wrócił do podróży onirycznych. Na całe szczęście nie chrapał zbyt często, co dla większości mężatek stanowiło nie lada luksus, ale był z całą pewnością śpiochem, któremu lepiej było nie zakłócać tej fantastycznej czynności. Upewniwszy się, że Mateusz (stary niedźwiedź) mocno śpi, Magdalena sięgnęła do wewnętrznej kieszeni przewiewnej kurtki i wyciągnęła mocno wygniecioną paczkę LM-ów. Wewnątrz był ostatni papieros, co wywołało grymas na jej twarzy. „Choć lepszy rydz niż nic, prawda?”. Założyła na ramiona kurtkę, włożyła kapcie góralskie, które kilka godzin wcześniej kupiła na niewielkim bazarze w centrum miasta i zeszła po schodach na dół. Po lewej stronie minęła sypialnię właścicielki, z której dobiegał głos jakiegoś reportera



tłumaczącego nocnym markom zawiłości zbliżającej się do Europy nowej mutacji wirusa. Magdalena zostawiła za sobą wróżby nieuchronnego końca ludzkości i konieczności przygotowania się na najgorsze („powtarzam: na najgorsze, proszę państwa”), pociągnęła za klamkę i zeszła po schodach do ogrodu.

Noc była chłodna, jak na tę porę roku, więc opatulili się kurtką szczelniej i ruszyła w kierunku drewnianej altanki z boku domu. Była pewna, że zza krzaków wybiegnie zaraz labrador, z którym poznali się dzień wcześniej, ale pies najwyraźniej nocował wewnątrz.

– Gdzie ten włącznik... – irytowała się na głos, próbując wymacać w ciemności kontakt.

Wreszcie trafiła i żarówka rozbłysnęła jasnym płomieniem. Magdalena Flis wrzasnęła i potknęła się o stojący w rogu zielony taboret; gdyby nie zdążyła w porę złapać się belki altany, wylądowałyby na plecach.

– Najmocniej przepraszam. Byłem pewien, że zauważyła mnie pani wcześniej – zwrócił się do niej starszy pan o krętych włosach w mlecznym kolorze.  
– Czy wszystko dobrze?

– Tak. Oczywiście – odpowiedziała kobieta, próbując ukryć drżenie głosu.  
– To ja niepotrzebnie tak się tu zakradłam – dodała z niewyraźnym uśmiechem.

Mężczyzna był ubrany w szary wełniany sweter, a na stole przed nim leżał stos notatek i książek, głównie kryminałów, jak domyśliła się po tytułach. Kobieta musiała przyznać, że to dość nietypowy widok w środku nocy, ale pozostawiła tę uwagę dla siebie.

– Magdalena. Miło mi – przedstawiła się i wyciągnęła do niego rękę.

– Jan.

Żarówka w altanie przygasła na moment, a z oprawki dobiegł chroboczący dźwięk. W tym świetle pnącza winogron rzucały na jej wnętrze tysiące niezwykłych cieni.

– Nie zdążyłem naprawić tego okropnego prądu, który idzie od sklepu – stwierdził starszy pan i opuścił oczy w zamyśleniu.

– To pan tu mieszka, tak? Nie widziałam pana wcześniej, ale przyjechaliśmy dopiero wczoraj...

– Pani Magdaleno można powiedzieć, że mieszkałem, a teraz opiekuję się jeszcze czasem domem – odpowiedział, ale szybko zmienił temat: – Rozumiem, że pani też znalazła się tu nieprzypadkowo w tę niezbyt ciepłą noc?

– Zgadza się. – Kobieta uśmiechnęła się i wyciągnęła papierosy. – Będzie pan miał coś przeciwko, jeśli zapalę?

– Myślę, że jakoś przeżyję. Moja żona pali dwie paczki dziennie do komin-  
ka, więc jakoś zniosę, ale czy ten maluszek w brzuchu będzie zadowolony?

Zrobiło jej się trochę głupio i w altanie zaległa niezręczna cisza. Przerwała ją dopiero Magdalena, która mimo wszystko wyciągnęła papierosa i zapaliła. Starszy pan przyglądał jej się ciekawie zza dużych oprawek okularów, ale nie odzywał się. Widać było, że nie pochwała jej zachowania, ale ma w sobie na tyle powściągliwości, by nie wprawiać jej w zakłopotanie.

– Często czyta pan po ciemku, panie Janku? – Wypuściła chmurę dymu i uśmiechnęła się, tym razem już w pełni szczerze.

– Takim jak my pozostaje już tylko czytanie nocami. Wszystko ma swój czas i miejsce, droga pani – odpowiedział, ale nadal był śmiertelnie poważny.

– Ja rzadko mam czas na książki, choć chciałabym mieć go więcej...

– A w dzieciństwie miała pani więcej czasu? – zapytał jej mężczyzna bawiąc się jednym z woluminów. Była to powieść Katarzyny Bondy, w czerwonej okładce, ale z tej odległości tytuł był nieczytelny.

– W dzieciństwie każdy z nas miał więcej czasu. Nie było pracy, urzędów, wiecznego życia w pędzie... – wyliczała.

– I czytała pani wtedy dużo książek? – dopytywał Jan.

– W zasadzie... – zmieszała się – w zasadzie nigdy chyba nie lubiłam czytać.

– No i teraz wiem, że mówi pani szczerze – odpowiedział i pierwszy raz się uśmiechnął.

– Mam dla pani dwie wiadomości. – Starszy pan podszedł bliżej. – Po pierwsze, proszę zacząć czytać od początku, od „Królowy Śnieżki”. Pomoże to pani i dziecku, a może uda się uniknąć tego, co nieuniknione...

– Przeraza mnie pan trochę... – Dziewczyna cofnęła się w kierunku wyjścia z altany.

– Zupełnie niepotrzebnie. – Zignorował jej wypowiedź i kontynuował: – Po drugie, w książkach znajdzie pani odpowiedź. Zawsze i na każdy temat. To są prawdziwe bramy do nieśmiertelności, ale też jedyna słuszna droga. I proszę pamiętać, że największe skarby czekają w ukrytych szufladach.

– Przyznam, że ciekawy z pana człowiek – powiedziała cicho i nawet nie zauważyła, że niedopalony papieros wypadł jej z ręki.

– Niech pani to zgasi, bo nie chcemy mieć tu ogniska. Do tego są znacznie lepsze miejsca i okoliczności – zwrócił się do niej Jan i wyszedł na trawę.

– Jutro też pana tu spotkam? – zapytała na koniec, bo mimo dziwactw ten człowiek wydał jej się interesujący.

- Nie sędzę. Ważne jest dziś, a nie wczoraj. I niech Bóg ma panią w opiece.
- Do widzenia, panie Janie! – zawołała jeszcze, gdy wychodził przez furtkę.
- Czuwaj, Magdaleno.

Kiedy kobieta wróciła na górę, zobaczyła jeszcze jak postawny, lekko przygarbiony starszy człowiek oddala się powolnym krokiem, niosąc pod pachą niewielki stos książek. Światła latarni przygasły na moment, gdy mijał stojący obok punkt kurierski, a potem zniknął jej z oczu.

Resztę nocy przespaa spokojnie.



Trombity grzmiały zamieniając jaskinię w jedno wielkie pudło rezonansowe, a miarowe uderzenia w bębny dopełniały melodię grozy. Tomek czuł się coraz dziwniej z każdym krokiem stawianym w wąskich korytarzach jaskini. Początkowo bał się tego miejsca i ludzi, ale teraz zaczynał się odprężyć. Na karku czuł przyjemne mrowienie, a w świetle pochodni rozświetlających im drogę, coraz częściej dostrzegał przedziwne, wielobarwne wzory. Obraz przed oczami falował, by po dłuższej chwili zamienić gałki oczne w kalejdoskop, taki sam jaki w dzieciństwie kupiła mu mama na odpuszcie. „Swoją drogą ciekawe, czy ktoś jeszcze dziś produkuje coś takiego?”. Nie wiedział, czy zadał to pytanie na głos, czy może raczej tylko myśl pojawiła się w głowie? „Swoją drogą, czy te myśli kiedykolwiek należały do mnie?”. Chłopak szybował przez galaktyki wyobrażeń, zaginał czas i materie, żonglował energią, spijał jin i jang z kubków o wyglądzie kolorowych słoników. „Słoń Dumbo byłby wyśmienitym nauczycielem biologii w szkole podstawowej w Szczyrku, czyż nie?”. Tomek z całą pewnością nie znajdował się już w jaskini, a maź wylatująca co jakiś czas z jego ust była płynnym złotem lub dywanem motyli, a nie rozstrojem żołądka po wypiciu nieznannej mikstury. Tak było przecież lepiej, tak było dobrze.

– Czy my jesteśmy w raju, Zuziu? – spytał powoli i zauważył, że mówienie sprawia mu pewien kłopot.

– Jeszcze nie, kochany. Musimy upleść ten raj, jak plecie się wiklinowe kosze – odpowiedziała mu i zauważył, że jej twarz przechodziła jakąś przedziwną metamorfozę.

Z każdą sekundą różowe i kuszące usta dziewczyny rosły i byłyby w stanie przysiąc, że przez moment zajmowały pół twarzy. Przełknął ślinę i zamknął na moment oczy, a gdy ponownie je otworzył, wyglądała normalnie.

– Czy ja śnię, Zuziu? Może to tylko złudzenie?

– Obiecuję ci, że jeśli nawet, to nie będziesz chciał, aby zadzwonił budzik  
– odpowiedziała i pocałowała go namiętnie.

Zuzanna wzięła go za rękę i weszli do niewielkiej groty. Wewnątrz, wzdłuż wszystkich ścian stały nagie kobiety, z których kilka uderzało rytmicznie w pokryte skórą bębny. Tomek patrzył na ich sterczące piersi bez żadnego wstydu i z każdą sekundą był coraz bardziej podniecony. Ta mikstura, czymkolwiek była, sprawiła, że pozbył się niepotrzebnych ludzkich zahamowań. Latające wokół nich ćmy przypominały drogowskazy, które wskazały mu środek pomieszczenia.

– Witaj w Sali Wiatrów, Tomaszu – zwróciła się do niego kobieta nazwana przez Zuzannę Sędziwą Matką.

– Dobry wieczór... – Swój głos usłyszał gdzieś obok ciała.

– Ty będziesz Jego naczyniem. Ty będziesz kielichem, z którego pić będziemy.

Wypowiedziane przez nią słowa spowodowały, że jej naga świta wpadła w euforię. Kobiety na przemian skakały i tańczyły, wydając przy tym okrzyki, podobne do tych, jakie Tomek słyszał w westernach.

– Zatańczymy? – zwróciła się do niego Zuzanna, a jej spojrzenie nie znosiło sprzeciwu.

Nogi poniosły go same i chwilę później wirował już wraz z nią na granicy rzeczywistości i fikcji. Piersi kobiet uderzały o siebie, ich pośladki falowały w rytm hipnotyzującej symfonii nocy. Chłopak był w raj, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Kobiety ocierały się o niego i dotykały dłońmi jego ciała. Nim zdążył zauważyć, nie miał już na sobie ubrań i wirował wraz z nimi w orgastycznym szale. Zapomniał na moment o Zuzi, ale kiedy odwrócił głowę zauważył, że dziewczyna klęczy przed Sędziwą Matką, a ona posypuje jej głowę ziemią. Okrzyki kobiet nie pozwalały mu zrozumieć słów, jakie do niej wypowiada, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Rudowłosa kobieta złapała go za czuprynę i przyłożyła jego twarz do białych piersi. Odczuwał ją wszystkimi zmysłami, całował jej spoczone ciało, bezwstydnie łapiąc za pośladki.

– Dosyć! – niski i władczy głos Sędziwej Matki przerwał taniec, a kobiety w popłochu rzuciły się pod ścianę i zastygły w nieruchomych pozach.

Z głębi pieczary znów zabrzmiała potężna trombita, a zgromadzone dołączyły się do niej przez murmurando. Zuza wstała z klęczek i odwróciła się do chłopaka z uśmiechem. Była teraz naga, jak pozostali, a jedynym jej ubraniem była drewniana, rzeźbiona maska, w której wydawała się znacznie wyższa niż dotychczas.

– Jesteś... ty jesteś aniołem... – powiedział Tomek, gdy podeszła bliżej.

Uśmiechnęła się do niego i odgarnęła włosy, które częściowo zasłaniały nie-  
duże piersi. Jej ciało było idealne, a falujące w powietrzu kolory i przenikające się  
kształty sprawiały, że wyglądała jak istota boska. Ich usta złączyły się w długim  
i namiętym pocałunku. Następnie powędrował niżej, pieszcząc jej szyję, gładząc  
piersi, przysuwając ją do swojego pulsującego w niespełnieniu ciała. Kobiety  
znów wydawały z siebie dzikie okrzyki, a bębny grały coraz szybciej. On widział  
jednak tylko ją, swoją pierwszą... wymarzoną... swoją Boginię.

– Weź mnie – jęknęła mu do ucha i upadli na kamienie.

Zuzia położyła go na plecach i usiadła na nim. Ciepło wypełniło każdą ko-  
mórkę jego nastoletniego ciała, a z każdym ruchem jej bioder odpływał coraz  
dalej i dalej. Dwie kobiety trzymały teraz jego ręce i zdany był tylko na ich łaskę.  
Wreszcie stał się mężczyzną i jęknął z rozkoszy, a dźwięk bębnow i krzyki zgro-  
madzonych urwały się, jak cięte nożem.

– A teraz mnie pocałuj – wyszeptała Zuzanna i ściągnęła z głowy maskę.

– Tak bardzo cię kocham... – wymamrotał zza psychodelicznej mgły.

– Snujmy się – słowa Sędziwej Matki brzmiały jak rozkaz.

– Snujmy się! – odpowiedziały kobiety i upadły na kolana.

Szesnastoletni Tomek upojony swoją pierwszą miłością i pierwszym nar-  
kotykiem patrzył jak jego rozpalona kochanka nachyla głowę, by po raz kolejny  
dać mu rozkosz. Ich drżące wargi spotkały się, a języki splotły w pocałunku.  
W pierwszym momencie myślał, że to kolejna halucynacja. Kiedy chciał na mo-  
ment oderwać się od ust dziewczyny, nie dawał rady. Spróbował kolejny raz...  
i kolejny... nadal nic. Jej język zachowywał się jak język kameleona, który złapał  
właśnie tłustą i smakowitą muchę. Uczucie z początku ciekawe, wreszcie spo-  
wodowało obawę, by w końcu przeistoczyć się w przerażenie. Chłopak wierz-  
gał nogami i próbował się wyrwać, ale uścisk jego strażniczek na nadgarstkach  
i kostkach uniemożliwiał ucieczkę. Usta dziewczyny, z którą właśnie przeżył swój  
pierwszy raz, rozwarły się do niepojętych wręcz rozmiarów. Jej twarz przypomi-  
nała teraz paszczę aligatora. Język Zuzanny wydłużył się i wyglądał jak obłąkana,  
różowa autostrada mająca na zawsze połączyć ich ze sobą. I wtedy go zobaczył.  
Wyszedł z jej gardła na ośmiu rozchwianych włochatych nogach i ruszył w kie-  
runku jego ust. Tomek chciał krzyknąć, ale wydał z siebie tylko nieskładne bulgo-  
tanie w krtani. Stworzenie przekrzywiło jedną z trzech makabrycznych głów, a po  
twarzy chłopaka pociekły łzy. Następnie poczuł na podniebieniu przednie nogi  
pająka, którymi ten badał nowe podłoże. Najwyraźniej spodobało mu się nowe  
lokum, bo wtargnął odwołaniem w gardło brutalnie i skutecznie. Język dziewczy-

ny wycofał się, chłopak wydał z siebie przeciągły i przerażający ryk, a jego ciałem wstrząsnęły konwulsje.

– Snujmy sieć! – wykrzyknęła Sędziwa Matka.

– Snujmy sieć!



Policjant wyjął roślinę znaną za domem Wilczyńskich i jeszcze raz powąchał. Była to jakaś dziwna mieszanka, która w niczym nie przypominała marihuany, której spore ilości znajdowali przy gówniarzach szwendających się nocą po deptaku. Z drugiej strony wysyp dopalaczy i innego typu ścierwa powodował, że nigdy nie mógł być pewien, z czym tak naprawdę ma do czynienia. W zeszłym roku interweniował na boisku szkolnym w górnym Szczyrku, gdzie niespełna piętnastoletni łepek zachowywał się agresywnie, czym wzbudził reakcję przechodniów. Z początku myślał, że chłopak przyjął amfetaminę, w ostateczności jakieś tabletki, które teraz łatwiej ściągnąć z Internetu niż zamówić pizzę. Jakież było jego zdziwienie, gdy dowiedział się, że odlot spowodował płyn do czyszczenia felg samochodowych, który tamten spożywał, by wywołać u siebie euforię i halucynacje. Świat schodził na psy, a opowieści, które niegdyś ubarwiały filmy gangsterskie kręcone na Bronxie, stawały się powoli elementem lokalnego folkloru. Niewielka miejscowość w Beskidzie Śląskim nie odstawała pod tym kątem od dużych aglomeracji. Młodzież i wielu dorosłych bawiło się tu przeważnie mocno, bez zahamowań i z dostępem do wszelkiej maści używek. Raz na kilka interwencji udawało im się przechwycić jakieś niewielkie ilości środków odurzających, ale Dunaj wiedział, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej. W Szczyrku liczącym sobie około pięć tysięcy stałych mieszkańców, liczba turystów odwiedzających miasto rok w rok była sześciocyfrowa. Miało to oczywiście swoje plusy, gdyż miejscowość rozwijała się bardzo dynamicznie, a ruch turystyczny pozwalał znaleźć zatrudnienie wszystkim, którzy szukali go w sektorze gastronomii czy hotelarstwa. Dunaj znał jednak drugą, znacznie bardziej niepokojącą stronę napływu przyjezdnych, którą był popyt na narkotyki, szczególnie wśród młodzieży. Część „bardziej przedsiębiorczych” (lubił tak mówić o nich w żartach) i zbuntowanych przeciw światu małaolatów zwietrzyła w tym niezły interes i chętnie rozprowadzała trawkę podczas ferii i wakacji, bawiąc się z nimi w policjantów i złodziei. Drugą kwestią byli sami przyjezdni, którzy równie często dowozili na prowincję najnowsze odkrycia syntetycznego szczęścia, wprost z warszawskich dyskotek. Gliniarz zdawał sobie sprawę, że przegrywali tę gonitwę już w boksie

startowym, ale jeśli okaże się, że Wilczyńscy rzeczywiście handlują czymś nielegalnym, to obiecuje, że uwali ich na dobre.

– *Policja interweniuje w Muzeum Miejskim w Żywcu po tym, jak w godzinach wieczornych doszło tu do włamania na teren obiektu* – przeczytał lektor Radia Bielsko, a Dunaj podgłośnił audycję. – *Póki co szacujemy straty i trudno powiedzieć, czy złodziejom udało się wykraść jakieś eksponaty z trwającej tu właśnie wystawy. To tym bardziej smutne dla lokalnej społeczności, że do incydentu doszło w dniu otwarcia ekspozycji, nad którą pracowaliśmy od wielu miesięcy* – dodała kierownik muzeum.

– Czwarta nad ranem, a w okolicy wciąż się dzieje... – mruknął do siebie mężczyzna i wysiadł z radiowozu, który zaparkował na pętli autobusowej w Szczyrku Biłej. Był to przystanek końcowy i równocześnie ulubione miejsce policji na nocnej zmianie. Kiedy miasto już spało, zmęczone turystycznym pędem, można było wyłączyć silnik i zrobić sobie drinka na tyle mocnego, by przeczekać do rana we względnie dobrym humorze. Komisarz miał już wypracowaną przez lata metodę i drinka przygotowywał w biurze. Wlewał setkę szkockiej do termosu na kawę i zalewał colą. Czasem przygotowywał dwa lub trzy termosy, które kupił przez Internet za niespełna trzydzieści złotych i tak wyposażony udawał się na pętlę. Było to rozwiązanie zarówno praktyczne, jak i bezpieczne, szczególnie w ostatnich latach, gdzie zdjęcie policjanta pijącego alkohol w radiowozie zakończyłoby jego karierę. Nie mówiąc już o tym, że sam samochód naszpikowany był często kamerami i mikrofonami. Dunaj był za starym lisem, by się złapać w te sidła.

Było przed piątą, gdy w radiu usłyszał piosenkę zapowiedzianą przez spike-ra jako „Gramy DoBBro”, w której jakaś wokalistka i raper piali z zachwytem nad walorami Bielska-Białej. Na całe szczęście w numerze były żywe instrumenty, bo mężczyzna nie lubił hip hopu prawie tak mocno, jak większości jego słuchaczy. Dziwnym trafem było z nimi zawsze najwięcej kłopotów. Kawalek się skończył i wybiła dokładnie piąta, gdy policjant pociągnął z termosu ostatni łyk szkockiej.

– A temu co do licha? – Prawie zadławił się, gdy zobaczył zakapturzoną postać, która wytoczyła się z lasu.

W jego kierunku szedł chłopak, choć powiedzieć, że idzie, było sporym nadużyciem. Miał nienaturalnie wygięte ręce, przekrzywiony do przodu korpus i z trudem utrzymywał pionową pozycję. Kroczył od prawa do lewa, najwyraźniej nie potrafiąc prawidłowo skoordynować głowy z ciałem.

– No to mamy zombie... co tu się odwala?

Policjant wyszedł z radiowozu i zbliżył się do nadchodzącej postaci.

– Wszystko w porządku? Czy potrzebujesz jakiejś pomocy?

Chłopak nie odpowiedział i wciąż szedł w jego kierunku. Poznał go dopiero, kiedy ten stanął w promieniach wschodzącego słońca.

– Tomek... Boże, jak ty wyglądasz... – powiedział zdumiony i podbiegł do niego.

– Mleka, dajcie mi mleka... – powiedział chłopak przez spierzchnięte wargi, wierzgnął jak marionetka i upadł na twarz.